

365

ARCHEOLOGIA PAMIĘCI

G n i e z n o

2022

tekst i zdjęcia

K r z y s z t o f
S z y m o n i a k

365 ARCHEOLOGIA PAMIĘCI
Gniezno 2022

© tekst i zdjęcia – Krzysztof Szymoniak
© Biblioteka Publiczna Miasta Gniezna

*Fotografia trwale dotyka
rzeczywistości, a ślady naszego
patrzenia znikają w niepamięci.*

Sławomir Kuszczak

Segregator obecności.

Codziennność. Monochrom

Wydawnictwo UAP, Poznań 2019, s. 31

S t y c z e ń

1 (1 stycznia, sobota)

Nie urodziłem się w Gnieźnie. Na świat przyszedłem w Kępnie. W Gnieźnie, w roku 1924, urodził się mój ojciec – Władysław. Jego ojciec, a mój dziadek – Ludwik Szymoniak, gnieźnieński kolejarz-maszynista I klasy, w roku 1931 zbudował dla swojej rodziny dom jednorodzinny. To wtedy mały Władziu zamieszkał na ulicy Jolenty, pod numerem 8. Po wojnie, gdy dorósł już Władysław wrócił do Gniezna z przymusowych robót w głębi III Rzeszy, całe pierwsze piętro tego domu było zajęte przez jakiegoś milicjanta pracującego dla UB. Reszta jego rodziny, czyli ojciec, matka i dwaj młodszy bracia (starsza siostra Władysława, także wywieziona na roboty przymusowe, prosto z obozu dla dipisów w Hanowerze wyjechała do Australii), gnieździła się w pokoju z kuchnią na parterze budynku. W efekcie mój ojciec – nie widząc dla siebie żadnych szans w rodzinnym mieście – przeniósł się na tak zwane Ziemie Odzyskane, czyli do Wałbrzycha (*Waldenburg*), gdzie ożenił się z poznaną w Hanowerze kępnianką Haliną Stefaniak. Zamieszkał z żoną i moją starszą siostrą Krystyną w wałbrzyskim Sobięcinie, na piętrze poniemieckiego bloku górniczego przy obecnej ulicy Bronisława Kani 3. Pod koniec 1950 roku wrócił do Wielkopolski, ale już nie do Gniezna, tylko do powiatu kępińskiego, rodzinnego powiatu mojej matki. Najpierw zamieszkał z rodziną w podkępieńskim Baranowie, na piętrze domu państwa Ratajewskich, przy ulicy Wrocławskiej 2. Latem 1959 roku opuścił Baranów i przeniósł się z rodziną do Kępna, na Osiedle Przemysława, gdzie zbudował swój pierwszy własny dom otoczony kawałkiem własnego ogrodu. Dom ten stoi do dzisiaj przy ulicy Paderewskiego 8. W roku 1968, kiedy miał już serdecznie dosyć Kępna, kępińskich układów polityczno-zawodowych i kępińskiej prowincji, zaczął planować powrót do Gniezna. Najpierw znalazł tu pracę w Centrali Rybnej, przy ulicy Konikowo, oraz połowę starej kamienicy do remontu przy ulicy Grzybowo 3. Sprzedał więc dom w Kępnie, a zaraz potem kupił i wyremontował parter owej kamienicy, po czym latem (pod koniec czerwca) 1969 roku sprowadził do Gniezna żonę, czwórkę dzieci i psa. Od tego momentu – a miałem wtedy 16 lat – historia mojego życia zaczęła splotać się z Gnieznem. Na dobre i złe. 20 czerwca skończę 69 lat i ciągle tu jestem. PS – w roku 1978 moja żona Danuta urodziła w Gnieźnie naszą córkę, Paulinę.

(2 stycznia) 2



3 (3 stycznia, poniedziałek)

Kochaj, bo drugi raz nie zaproszą cię do stołu... Od kilku lat przytrafiają mi się w Gnieźnie pewne sytuacje związane z sześcio-, siedmio-, ośmio- lub dziewięcioletnimi dziewczynkami, których oczywiście nie znam, a które przypominają mi moją córkę z jej własnego dzieciństwa oraz pierwsze lata mojego ojcostwa. Otóż zawsze (albo prawie zawsze), gdy trafiam gdzieś (na ulicy, w pociągu, w parku, w sklepie lub autobusie komunikacji miejskiej) na taką osobkę w towarzystwie jej naburmuszonego, warczącego, a bywa, że i znudzonego rodzicielstwem ojca, mam ochotę podejść do niego i wykrzyczeć mu szeptem do ucha: Człowieku! Przytul ją! Kochaj swoją córkę! Rozmawiaj z nią! Bądź dla niej dobry! Nie pozwól, aby ktoś ją skrzywdził! Dbaj o nią, bo potem nigdy już tego nie nadrobisz!

Wszystko to bierze się z pamięci... Po opuszczenia Kępna właśnie Gniezno stało się moją nową planetą, na której musiałem zbudować wszystko, co nazywamy życiem dorosłego człowieka, a więc musiałem kształcić się, pracować, założyć własną rodzinę, szanować wysiłek rodziców, dzięki którym miałem dach nad głową i poczucie bezpieczeństwa, rozwijać się zawodowo, doskonalić się duchowo i artystycznie, wywiązywać się z różnych obywatelskich obowiązków, popełniając jak najmniej błędów, a z tych już popełnionych wyciągać dla siebie naukę i właściwe wnioski na przyszłość. Wszystko to mam za sobą. Więcej błędów młodości już nie popełnię, a przeszłości nie zmienię. Została tylko pamięć. Zastanawiam się, jak ta pamięć działa? Najpierw są emocje i słowa, a potem zjawiają się obrazy miejsc i zdarzeń, czy odwrotnie – najpierw obrazy, a potem słowa i emocje? Te zapiski są po to, aby spróbować raz jeszcze przejść tamtą drogę – od czerwca 1969 do grudnia 2022 – aby rok po roku przyjrzeć się sobie i miastu, które wchłonęło całe moje istnienie. Nie robię wielkich planów na przyszłość, bo ludzie w moim wieku istnieją dzięki przeszłości, a przed sobą mają tylko dzień bieżący. Nie jestem sławny i bogaty, ale głód i bezdomność nie zaglądają mi w oczy. Od dawna jestem singlem, a dorosła córka żyje na własnej orbicie. Rodzice pomarli, a ja prawie nie istnieję, gdyż omijam nowoczesne sposoby „istnienia” na portalach społecznościowych. Uprawiam więc archeologię pamięci i dzień po dniu przywołuję minione obrazy Gniezna. Tyle mogę.

(4 stycznia) 4



5 (5 stycznia, środa)

Przez Gniezno nie płynie żadna poważna rzeka. Bo trudno nazwać rzeką lichą Strugę Gnieźnieńską. W roku 1969, kiedy zostałem nie tylko mieszkańcem, ale i obywatelem Gniezna, dowiedziałem się, że w rodzinnym mieście mojego ojca są trzy jeziora – Weneja, Łazienki i Świętoja (tak je wtedy nazywali ci, którzy uczyli mnie mapy miasta) – i nie ma żadnej poważnej rzeki. Wcześniej, zanim osiadłem w Gnieźnie, małe rzeki były częścią krajobrazu, w którym działały się te moje pierwsze zapasy z płynącą wodą. Kiedyś kąpałem się w Jamnicy (Baranów, koło Kępna), potem w kępińskiej Samicy, zwanej też Niesobem, ale i w Prośnie płynącej przez sąsiedzki Wieruszów. Potem, gdy zamieszkałem w Gnieźnie, najbliższą miałem do Warty, rzeki płynącej przez Konin, Pyzdry, Śrem, Poznań, Oborniki i Gorzów do Odry, ale wkrótce zorientowałem się, ujeżdżając rowerem po gnieźnieńskiej okolicy dalszej i bliższej, że w Czarniejewie mają rzekę Wrześnicę, a nieopodal Gniezna płynie rzeka Welna, o której można przeczytać w Wikipedii: *rzeka w zachodniej Polsce, prawy dopływ Warty o długości 118 km i powierzchni dorzecza 2621 km². Płynie przez Pojezierze Gnieźnieńskie, Pojezierze Chodzieskie i Kotlinę Gorzowską, w woj. wielkopolskim i kujawsko-pomorskim. Rzeka wypływa we wsi Osiniec koło Gniezna, w górnym i środkowym biegu przepływa przez wiele jezior (m.in. Wierzbiczańskie, Jankowskie, Strzyżewskie, Piotrowskie, Ławiczo, Biskupiec, Ziolo, Rogowskie, Tonowskie), do Warty uchodzi w Obornikach. W Wągrowcu Welna krzyżuje się z Nielbą. W czerwcu 2011 roku na rzece ukończono budowę Małej Elektrowni Wodnej zlokalizowanej w Obornikach. Elektrownia posiada moc 330 kW. Zamontowano w niej dwa hydrozespoły. Rocznie może wyprodukować 1440 MWh energii elektrycznej.* Nie mogłem wiedzieć, że kiedyś ową Welnę napotkam na swojej drodze w Jankowie Dolnym, Wągrowcu i Obornikach. Jednak rzeczywistością miasta Gniezna, w którym przyszło mi mieszkać i pobierać nauki w II LO (podstawówkę skończyłem w kępińskiej SP nr 1) były spore zbiorniki wody na pierwszy rzut oka stojącej, może tylko lekko przepływowej, ale na pewno wody, która nie zagrażała nam powodzią, czy choćby wiosenno-jesiennym wezbraniem zalewającym ogródki działkowe oraz nadrzeczne łąki, polne drogi lub zrudziałe torfowiska.

(6 stycznia) 6



7 (7 stycznia, piątek)

Jestem w zasadzie migrantem. Nie da się zaprzeczyć, że ścieżki mojego dzieciństwa zostały w Kępnie i powiecie kępińskim. Tam z pierwszych doznań ukształtowała się moja pierwsza „mała ojczyzna”, której – jako dorosły już człowiek – poświęciłem książkę „Epizody”. W Gnieźnie pojawiłem się na stałe kilka dni po ukończeniu 16 roku życia. Tak więc moje korzenie pozostały w Kępnie (i pobliskim Baranowie). Z woli ojca przeprowadziłem się do Gniezna z bagażem lat pierwszych i wczesnej młodości, z otwartą księgą zdarzeń, doświadczeń i wiedzy (swoista *tabula rasa*). To w tej księdze los i moje własne uczynki zapisały pierwsze drobne sukcesy (nauczyłem się czytać, jeździć na rowerze i wspinać się na wysokie drzewa) i pierwsze klęski (nieudana wyprawa edukacyjna do Wrocławia jesienią 1968 roku), pierwszą miłość i pierwszą poważną ucieczkę z domu, pierwszą komunię, bierzmowanie i pierwsze trudne pytania do milczącego i bezsilnego Boga. Ponieważ wszystko, co pierwsze zdarzyło się w Baranowie i Kępnie, nie miałem w Gnieźnie kolegów z przedszkola i podstawówki, z boiska piłkarskiego i harcerstwa, z pierwszych prób zarabiania pieniędzy (złom, butelki, pasienie na miedzach sąsiedzkiej kozy), za które kupowałem pierwsze własne książki w księgarni na kępińskim Rynku. W Gnieźnie wszystkiego musiałem uczyć się na nowo (zaczynając od topografii miasta), wszystko musiałem zaczynać od zera. To wtedy mój ojciec pokazywał mi na ulicach Gniezna swoich kolegów sprzed wojny, z którymi badał ostępy Lasu Miejskiego, zbudował drewniany kajak i chodził do klubu Stella na treningi boksu. Pokazał mi też parowozownię, w której jego ojciec, kolejarz, przez lata obłaskawiał wielkie czarne lokomotywy. Ten rys migracyjny objawił się u mnie raz jeszcze, gdy w roku 1985 zacząłem dojeżdżać do pracy w Poznaniu, a stamtąd w latach 90. wysyłano mnie na dwa lata do Ostrowa Wlkp., na dwa lata do Konina, na pół roku do Gorzowa, a także na tygodniowe wypadki dziennikarskie do Berlina, Pragi, Neapolu i na Bałkany. Zawsze jednak w końcu wracałem (na noc lub na urlopy) do Gniezna, bo tutaj miałem dach nad głową, rodzinę i kawałek własnej podłogi.

(8 stycznia) 8



9 (9 stycznia, niedziela)

Miasto średniej wielkości... Osiedlając się na stałe w Gnieźnie latem 1969 roku miałem za sobą dwa zdecydowanie różne doświadczenia, jeżeli chodzi o życie w mieście – najpierw 15 lat w małym mieście powiatowym (Kępno), a potem półroczny pobyt w dużym mieście wojewódzkim (Wrocław). W Kępnie, jak już wiadomo, urodziłem się, wychowałem, skończyłem szkołę podstawową, nauczyłem się czytać, pisać, liczyć, jeździć na rowerze i nartach, łązić po drzewach, pływać, strzelać z kbks-u, konstruować latawce skrzynekowe, wygrywać lub przegrywać szkolne biegi przełajowe, a także fotografować, rysować, grać na skrzypcach, pisać wiersze. Nieobce były mi też obowiązki związane z pracą w ogrodzie, pracą w polu, jesiennym szatkowaniem i kiszeniem kapusty, przygotowywaniem drewna na opał, zrzucaniem węgla do piwnicy i paleniem w kilku piecach. Do Wrocławia trafiłem 1 września 1968 roku, ponieważ rozpocząłem naukę w tamtejszym Technikum Przemysłu Spożywczego. Zamieszkałem więc w internacie na Wyspie Słodowej, aby pół roku później, na koniec pierwszego semestru, po ewidentnej klęsce edukacyjnej, opuścić na tarczy szkołę, internat i miasto. We Wrocławiu, wtedy jeszcze noszącym wyraźne ślady wojennej demolki, odebrałem zupełnie inną lekcję – dane mi było bez lęku wałęsać się samotnie po wielkim mieście, chodzić na wagary, jeździć bez biletu tramwajami, spędzać długie godziny w muzeach, ogromnych kościołach lub nad kanałami Odry, podglądać fascynujący, chwilami mroczny świat Hali Targowej, w księgarniach dotykać książki, na które nie było mnie stać, a także snuć fantastyczne, nierealne wizje własnej przyszłości. Kiedy osiadłem na stałe w Gnieźnie, poczułem, że jest to miasto na zwykłą ludzką miarę, ani za małe, ani za duże, miasto średniej wielkości, zupełnie inne niż Kępno i Wrocław. Miasto, w którym mogłem rozwinąć skrzydła, odnosić pierwsze sukcesy, stawać się mężczyzną. Był to schyłek epoki lat 60, ludzie pamiętali jeszcze inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, a za rok doszło do pamiętnych, krwawych wydarzeń na Wybrzeżu, do wymiany Gomułki na Gierka, mogłem więc zacząć zastanawiać się, czym jest komunizm, jak wygląda prawdziwa historia państwa o nazwie PRL, leżącego między Odrą a Bugiem, kim chcę być w tym państwie definiowanym przez ZSRR, a zarządzanym rękami PZPR, po której stronie chcę stanąć – po stronie oprawców czy ofiar?, po stronie władzy czy szarego człowieka?

(10 stycznia) **10**



11 (11 stycznia, wtorek)

II LO, czyli szkoła raz jeszcze. Po półrocznej, zakończonej całkowitą klęską, przygodzie edukacyjnej we wrocławskich Technikum Przemysłu Spożywczego, II LO przy ulicy Dąbrówki w Gnieźnie okazało się najlepszym miejscem, gdzie mogłem – w ramach szkolnej dyscypliny – odrodzić się duchowo wśród rówieśników i okrzepnąć intelektualnie oraz fizycznie po młodzieńczym zaczadzeniu romantyczno-poetycką fantasmagorią. Z urojeń na własny temat – jako uzdolniony szkolny lekkoatleta, recytator i miłośnik teatru – wyleczyłem się ostatecznie po maturze, gdy dotarło do mnie, że (mimo pewnych osiągnięć w zakresie przedmiotów humanistycznych i przyrodniczych) zbyt wiele czasu zmarnowałem na rzeczy i sprawy nieistotne, że odpuściłem sobie (o zgrozo!) języki obce, że poddałem walkowerem swoją najbliższą przyszłość. Dlaczego? Bo zamiast iść – jak wielu innych – na studia, wybrałem się na dwa lata do wojska, skąd wróciłem po trzech latach, co prawda zahartowany, doświadczony życiowo i wreszcie ze skalibrowanym jak trzeba systemem wartości, ale bezpowrotnie pozbawiony tego wszystkiego, co dawały regularne studia na UAM w Poznaniu, co w latach 70. oferowało tak zwane życie studenckie, zwłaszcza to sportowe, artystyczne, naukowe i wreszcie wakacyjne, z obozami żeglarskimi, wyprawami w Bieszczady, festiwalami piosenki i poezji studenckiej. Jako licealista byłem już dosyć dobrze zaznajomiony z Gnieznem oraz jego ofertą sportową i kulturalną; interesowały mnie przede wszystkim ówczesny gnieźnieński Teatr z Milanem Kwiatkowskim jako kierownikiem literackim, ówczesny Ośrodek Kultury z Krystyną Józwiak działający przy Parku Kościuszki, a także treningi biegowe realizowane kilka razy w tygodniu pod okiem dra Pawła Kiczyłły. W trzeciej i czwartej klasie zaprzyjaźniłem się z ówczesnym gnieźnieńskim Empikiem, gdzie kupowałem książki (rozbudowując własną domową bibliotekę), ale także pierwsze płyty długogrające z muzyką poważną i jazzową, skąd pochodziły także moje ukochane bluesowe płyty zespołu „Breakout”. W tamtym czasie nie byłem gnieźnieńskim hippisem, nie zakładałem zespołu rockowego, nie należałem do lepszego towarzystwa, ale bywało, że z kolegami szlifowałem Kareję, że spotykałem się z fajnymi dziewczynami. A jako uczeń drugiej klasy poznałem smak alkoholu oraz konsekwencje wynikające z jego nadużycia. Od tamtego czasu nigdy węgierskiego Budafoka nie zakąszam pomidorami.

(12 stycznia) **12**



13

(13 stycznia, czwartek)

Gniezno z początku lat 70. Przypomnijmy – moja edukacja w II LO przypadała na lata oświatowe: 1969/1970, 1970/1971, 1971/1972 i 1972/1973. W październiku 1973 wyjechałem do szkoły kaprali w Zamościu (którą de facto opuściłem jako szeregowiec), aby rozpocząć dwuletnią zasadniczą służbę wojskową. Do cywila wróciłem jako szeregowiec, łącznie po trzech latach, a ostatnim miejscem mojego pobytu w LWP było lotnisko śmigłowców wojskowych w Leźnicy Wielkiej, pod Łęczycą. A dlaczego owa „przygoda” trwała aż trzy lata, zamiast regulaminowych dwóch? To jest temat na osobną historię, która bardzo luźno wiąże się z Gnieznem. Osoby zainteresowane odsyłam do książki „Apropak” – drugiej części mojej autobiograficznej trylogii, na którą składają się jeszcze „Epizody” i „Pustelnia”. Wróćmy zatem do sedna sprawy... Oto próbuję sobie przypomnieć, jakim miastem było dla mnie Gniezno w okresie licealnym, czyli na początku lat 70. XX wieku? Mieszkalem wtedy z rodzicami i młodszym rodzeństwem na ulicy Grzybowo, pod numerem 3, u podnóża klasztoru oo. Franciszkanów (dzisiaj vis-à-vis mojego dawnego domu znajduje się modernistyczny, a może nawet już postmodernistyczny, ale w każdym razie na pewno cooltowy „Dobry Browar”), w pobliżu mając ulice Krzywe Koło, Kilińskiego, św. Jana, Rybna, Dąbrówki. Nie była to wytworna dzielnica, ale do szkoły miałem blisko, a między szkołą i domem, przy ulicy Dąbrówki, znajdowały się dwie gnieźnieńskie knajpy: jadłodajnia „Robotnicza” oraz mieszczańska „Europejska” – z fajkami i dancingami. Wychodząc z domu w drugą stronę, trafiałem na starą siedzibę Muzeum przy ul. św. Jana (obecnie szpital), przedszkole przy ulicy Rybnej (później przedszkole mojej córki), Szkołę Podstawową nr 1 za kościołem św. Jana (gdzie moja córka zaliczyła trzy lata nauczania początkowego), która popołudniami zmieniała się w słynne Liceum Wieczorowe, a dalej Szpital, cmentarz przy ulicy Świętokrzyskiej i jezioro ze wzgórzem Kustodii, skąd rozciągała się niezwyklej urody panorama miasta. Dzisiaj częściowo przesłaniają tę panoramę mocno rozrośnięte drzewa i krzewy. To tyle, jeśli chodzi o topografię miejskiego otoczenia, w którym odrodziłem się po klęsce wrocławskiej, a które na wiele lat stało się moim nowym i jedynym wtedy mikrokosmosem... c.d.n.

(14 stycznia) **14**



15 (15 stycznia, sobota)

Gniezno z początku lat 70. c.d. W domu się nie przelewało. Rodzice pracowali, więc biedy nie klepaliśmy, ale żeby zarobić na nowe, prawdziwe amerykańskie dżinsy i kurtkę dżinsową z ówczesnego Pewexu, w wakacje jeździłem rowerem z kilkoma ziomkami z Grzybowa, Krzywego Koła i ul. Kilińskiego do pracy w Kombinacie PGR Żydowo, gdzie zatrudniano nas przy magazynowaniu i suszeniu zboża. Miasto, z tego co pamiętam, jawiło się wtedy jako byt o schizofrenicznie rozdwojonym obliczu, rozpiętym między PZPR-em a Kościołem, między bełkotem nowomowy a dogmatyką katolicyzmu, między obowiązkowymi oficjałkami 1 Maja, 22 Lipca i Rewolucji Październikowej a spontanicznym uczestnictwem w odpustach św. Wojciecha, procesjach Bożego Ciała i Pasterkach, wreszcie między otwierającą się gierkowską epoką socjalistycznego dobrobytu a pozostałościami siermiężnej gomułkowszczyzny. Z tego okresu pamiętam robotnicze bary-mordownie (cienkie piwo, podłej jakości czyściucha, śledź lub inna przymusowa zakąska i natrętny zapach moczu) oraz ze trzy przyzwoite restauracje z dancin-gami, dobrą kuchnią i legendarnymi kelnerami. Na kawę, lody i ciacho można było chodzić do kawiarni „Esplanada” lub do czytelnii Empiku na piętrze, gdzie także odbywały się różne koncerty kameralne, wystawy plastyczne oraz spotkania autorskie z pisarzami i poetami. Na bywanie w barach byłem za młody, a na bywanie w restauracjach byłem i za młody, i za biedny, na przesiadywanie w „Esplanadzie” byłem za młody i zbyt lichy odziany, pozostawał mi więc tylko Empik, gdzie mogłem – jako uczeń LO – legalnie zaglądać bez obawy, że przegoni mnie stamtąd jakiś nauczyciel czy szkolna „trójka rodzicielska” poszukująca wagarowiczów. Poza tym, jako skromnemu uczestnikowi życia kulturalnego i artystycznego oraz jako początkującemu poecie o skłonnościach do lirycznych uniesień, bardziej odpowiadał mi klimat Empiku lub czytelnii w Bibliotece Publicznej niż baru piwnego lub restauracji, gdzie nie mogłem się przecież, także z racji wieku, ani odnaleźć, ani czuć zbyt pewnie. Poza tym bary, knajpy i restauracje nigdy chyba nie były moją bajką, a panujący w nich mikroklimat prawie nigdy, z małymi, epizodycznymi wyjątkami, nawet gdy już mogłem tam bywać po maturze, nie stały się częścią mojego osobistego kosmosu, mojej towarzyskiej i kulturowej obyczajowości. Piwo wolałem wypić w domu, a do knajp i restauracji zachodziłem czasem tylko na obiady.

(16 stycznia) **16**



17

(17 stycznia, poniedziałek)

Między szachami a pokerem (i karcianym oczkiem). Z moimi kolegami i koleżankami licealnymi (z klasy oznaczonej literą „d”) w zasadzie nie utrzymywałem pozalekcyjnych kontaktów, bo była to w większości zbieranina osób, które po lekcjach rozjeżdżały się do pobliskich wsi, miasteczek i na odległe przedmieścia. Ja, jako powtarzający pierwszą klasę, jako emigrant kępińsko-wrocławski, wreszcie jako osobnik bez własnej, gnieźnieńskiej przeszłości, idealnie do tej zbieraniny pasowałem i dobrze się w tym gronie czułem. To był mój świat. Z tego między innymi powodu niemal całkowicie poza moim zasięgiem byli koledzy i były koleżanki z tych lepszych klas, oznaczonych literami „a” i „b”, gdzie nauczano, poza rosyjskim, także języka angielskiego. Trafiali do nich uczniowie z tak zwanych lepszych rodzin – mieszczańskich, rzemieślniczych, urzędniczych, kupieckich, partyjnych, także dzieci lekarzy, dentystów, prawników czy nauczycieli. Ja przy nich mogłem się tylko nabawić kompleksów, byłem dla nich przeczysty jako człowiek znikąd, jako syn z wielodzietnej, ucziwej, ale skromnie żyjącej rodziny, mający w zanadrzu tylko własne wcześniejsze klęski i dosyć mgliste wyobrażenie o własnej przyszłości. Dlatego nie może dziwić, że w szachy nauczyłem się grać na letnim obozie przysposobienia obronnego, w Pleszewie, między drugą a trzecią klasą liceum, natomiast moi koledzy z ulicy Grzybowo i Kilińskiego (bo tylko takich wtedy miałem) nauczyli mnie grać w pokera i w oko, bo taką – oprócz podwórkowej gry w piłkę nożną między dwoma trzepakami – znali i za sensowną uznawali rozrywkę uprawianą w męskim gronie. W pokera i oko od początku grałem na pieniądze (niekiedy wygrywając spore kwoty), natomiast w szachy grywałem tylko o honor, czerpiąc z ewentualnych zwycięstw satysfakcję, a z porażek naukę, niekiedy zaskakując tą umiejętnością kogoś w rodzinie lub wśród dawnych i nowych znajomych. Wiele lat później, jako bardzo już dorosły mężczyzna, nauczyłem gry w szachy (a w zasadzie jej podstaw) kilka, może kilkanaście osób. Fakt ten sprawiał niekiedy, że spoglądano na mnie z czymś w rodzaju podziwu lub tylko zaskoczenia – poeta, a tak dobrze gra w szachy. Kiedy natomiast siadałem do pokera bywało, że ci sami obserwatorzy spoglądali na mnie z obrzydzeniem, jak na szemranego typu – poeta, a nie gra w brydża. Fakt, nigdy nie opanowałem tej sztuki. Kilka razy próbowano nakłonić mnie do wejścia w brydżowe towarzystwo, ale bez powodzenia.

(18 stycznia) **18**



19

(19 stycznia, środa)

Jeszcze raz o mieście bez rzeki. Przez całe swoje życie chętnie przebywałem w miastach, przez które przepływała jakaś mniejsza lub większa, ale koniecznie spławna rzeka. Ciągnęło mnie do płynącej wody, ponieważ kojarzyła mi się ona z wolnością i otwartością na świat. Już jako chłopiec, a potem jako licealista wyobrażałem sobie, że mając dostęp do rzeki zwozuję w niej kiedyś kajak albo jakąś niedużą łódź i tą łodzią lub kajakiem dopłynę do większej rzeki, która w końcu doprowadzi mnie do morza, skąd dużym żaglowcem, jako student-załogant, wyruszę w rejs dookoła świata. Wielkopolska daje takie możliwości – do morza wyruszyć można Prosną z Kalisza, albo Wartą z Konina, Śremu lub Obornik. Ponieważ Gniezno nie posiada spławnej rzeki, nie ma też w tym mieście nadrzecznych bulwarów, portu rzeczno- i nabrzeża, gdzie można zacumować i skąd można wyruszyć własną łodzią w długi rejs. W Gnieźnie rzekę zawsze zastępowały mi tory szlaków kolejowych, a portem był dworzec PKP. W ten sposób trafiałem (w związku z wykonywaną pracą lub realizowaną pasją) na krócej lub nieco dłużej, a nawet, bywało, że na dwa lata, do różnych polskich miast. Wymienię te, dla mnie najważniejsze, z którymi wchodziłem w związki zawodowe, artystyczne, literackie lub prywatne, w tym także turystyczne: Poznań, Konin, Ostrów Wlkp., Leszno, Kalisz, Kościan, Śrem, Kępno, Ostrzeszów, Jarocin, Krotoszyn, Środa Wlkp., Oborniki, Międzychód, Szamotuły, Wągrowiec, Trzcianka, Koło, Września oraz Szczecin, Gorzów, Wrocław, Wałbrzych, Nysa, Łódź, Warszawa, Białystok, Bielsk Podlaski, Białowieża, Sopot, Gdynia, Hel, Bydgoszcz, Toruń, Białsko-Biała, Cieszyn, Słubice. Gwoli ścisłości dodajmy, że pod pojęciem „praca zawodowa” rozumiem swoją aktywność dziennikarską, głównie w mediach papierowych (łącznie 15 lat), i dydaktyczną, jako wykładowca UAM (łącznie 19 lat). Pozostałe 6 lat mojej aktywności zawodowej i zarobkowej przypada właśnie na Gniezno, kiedy to pod koniec lat 70. i do połowy lat 80. byłem zastępcą kierownika w tuczarni trzody chlewnej (Zakłady Mięsne), instruktorem kulturalno-oświatowym (PKS), instruktorem i kierownikiem działu uczestnictwa (MOK), piszącym sekretarzem redakcji (gazeta międzyzakładowa „Głos Załogi”), wychowawcą w domu dziecka (Kobylnica), nauczycielem języka polskiego (SP nr 10), skąd po jednym semestrze przenieśliem się na stałe do Poznania (miesięcznik „NURT”, a potem „Głos Wielkopolski”).

(20 stycznia) **20**



21 (21 stycznia, piątek)

Nie masz tu korzeni, a co z pamięcią? Niemal od początku, gdy tylko zamieszkałem w Gnieźnie, zacząłem zadawać ojcu pytania o jego rodzinne miasto, o jego własną gnieźnieńską młodość, gdyż moja, zapośredniczona pamięć o tym miejscu była jego realnym życiem i jego małym światem, w który ja wszedłem dopiero w marcu 1969 roku. Ojciec mój, Władysław Szymoniak (rocznik 1924), pierwsze swoje lata spędził w domu przy ulicy Słomianka, gdzie mieszkał z rodzicami (Ludwik – rocznik 1889, Julianna – rocznik 1898) i rodzeństwem (Zdzisława, Mieczysław i Zygmunt) do dnia, kiedy to wprowadzili się do własnego, nowo zbudowanego domu przy ulicy Bł. Jolanty 8. Kilka lat później rozpoczęła się wojna i Gniezno ponownie stało się „niemieckim” miastem. Mój dziadek Ludwik, kolejarz-maszynista, nadal pracował w swoim zawodzie, a babcia Julianna, biegle mówiąca po niemiecku, gdyż także pochodziła z terenu zaboru pruskiego, pewnego dnia udała się do gnieźnieńskiego, tymczasowego Arbeitsamtu (budynek przy obecnej ul. Kilińskiego 17), aby upomnieć się o dwójkę swoich dzieci, które wkrótce – Władysław i jego starsza o dwa lata siostra – mieli wkrótce zostać wywiezieni w głąb Rzeszy, jako robotnicy przymusowi. Dla jasności dodajmy, że Arbeitsamt w Gnieźnie powstał już 24 października 1939 r. Urząd, który ostatecznie zainstalował się w budynku dzisiejszej SP nr 2, zajmował się m.in. przymusową rekrutacją i deportacją polskiej siły roboczej do Niemiec, współpracując w tym zakresie z policją. Julianna Szymoniak udała się zatem do naczelnika wydziału, z którym niestety weszła w „spór kompetencyjny” zakończony rękoczynem – trzasnęła owego Niemca w twarz, zaraz potem wyskakując z pierwszego piętra przez otwarte okno na chodnik. Za ten akt agresji została skazana na pół roku karnej obozu pracy. Budynek, w którym się to wydarzyło, był przez 30 lat częścią mojego prywatnego krajobrazu, gdyż stoi naprzeciw domu, gdzie zamieszkałem najpierw z ojcem, a potem z całą rodziną, po drugiej stronie placu zwanego dzisiaj Rondem Chrztu Polski. Na marginesie dodam tylko, że dwaj młodsi bracia mojego ojca, którzy czas okupacji spędzili w Gnieźnie, pracując fizycznie w niemieckich firmach, pod koniec wojny związali się polskim zbrojnym podziemiem. Ponieważ po wojnie się nie ujawnili, Zygmunt trafił do komunistycznego więzienia, a Mieczysław do komunistycznej karnej kompanii WP w Kielcach.

(22 stycznia) 22



23 (23 stycznia, niedziela)

Zanim Gniezno stało się moim miastem. Po wojnie, gdy ojciec mój wrócił do domu przy ulicy Bł. Jolanty, okazało się, że piętro tego domu stało się własnością jakiegoś milicjanta z UB, oczywiście bez prawa głosu i bez odszkodowania dla rodziny Szymoniaków. W pozostawionej rodzinie części domu (parter) nie było już fizycznie miejsca, nawet na łóżko, dla syna Władysława, który w 1946 roku wrócił do Polski z Hanoweru, a konkretnie z angielskiego obozu dla DP-isów, czyli wyzwolonych spod niemieckiej władzy niewolników wielu różnych narodowości. Cóż więc wtedy zrobił mój przyszły ojciec? Pojechał do Kępna (a konkretnie do podkępińskiego Baranowa), do Haliny Stefaniak, którą poznał w owym hamburskim obozie. Ponieważ jej z kolei rodzina straciła mieszkanie w Baranowie, a konkretnie dom przy ulicy Ogrodowej, będący służbowym mieszkaniem przedwojennego komendanta posterunku policji, i moja przyszła matka też nie miała się gdzie podziać, oboje wyjechali na kilka lat do Wałbrzycha, na tzw. ziemie odzyskane. Tam oboje pracowali w kopalni, tam wzięli ślub i tam urodziła moja starsza o pięć lat siostra Krystyna. Na przełomie lat 40. i 50. Wrócili do Baranowa, skąd w 1959 roku przeprowadzili się do Kępna i zamieszkali w zbudowanym przez mojego ojca domu na Osiedlu Przemysława. Wtedy już mieli czworo dzieci i, mówiąc szczerze, klepali biedę, gdyż musieli spłacać kredyt bankowy zaciągnięty na budowę tegoż domu. Pod koniec lat 60. ojciec dojrzał do decyzji: wracam do Gniezna! Sprzedał dom w Kępnie, spłacił resztę kredytu bankowego i kupił w Gnieźnie pół starej kamienicy do remontu, o której już wcześniej była mowa. W ten sposób wrócił do siebie, w swoje strony, natomiast moja matka musiała porzucić rodzinną ziemię (pogranicze Wielkopolski i Śląska Opolskiego), a my – ich dzieci – mogliśmy zacząć nowe życie w mieście o historii wielkiej i przyszłości niewątpliwej. Od tego czasu parter domu (i połowa poddasza) przy ulicy Grzybowo 3 były moim domem, gdzie w roku 1978, na tym poddaszu zamieszkałem z żoną Danutą i córką Pauliną. Dzisiaj, tam, na parterze, prosperuje zakład fryzjerski, a na owym poddaszu, gdzie powstały pierwsze moje książki poetyckie i wszystkie reportaże prasowe, napisałem obronioną z wyróżnieniem na polonańskiej polonistyce pracę magisterską. Co było formą wyróżnienia? Propozycja stacjonarnych studiów doktoranckich w Pradze czeskiej, w tamtejszym Instytucie Językoznawstwa.

(24 stycznia) 24



25 (25 stycznia, wtorek)

Te studia w Pradze czeskiej to była bardzo interesująca propozycja. Nic z tego nie wyszło, bo musiałem decydować się szybko, a przecież miałem obowiązki rodzinne. Zostawić żonę z małym dzieckiem i beztrasko pojechać do Pragi...? Do języka czeskiego wróciłem po roku 2010, gdy zacząłem poważnie interesować się Cieszynem, Czeskim Cieszynem, Zaolziem, a wcześniej pasjonowałem się czeską literaturą, czeskim filmem i czeską fotografią. Zanim jednak to wszystko się stało, byłem chudym licealistą, synem skromnego urzędnika i ciężko pracującej matki, która dorabiała się emerytury w gnieźnieńskiej Pralni Chemicznej, czyli chłopakiem znikąd, piszącym wiersze przybłądą bez dobrych kontaktów z rówieśnikami z dobrych, mieszczańskich oraz inteligenckich rodzin. W tym środowisku oparcia znaleźć nie mogłem, szukałem go więc w instytucjach – w Teatrze, w Empiku, we własnym Ogólniaku i w Miejskim Domu Kultury. A był to początek lat 70., gdy jedni wspominali jeszcze słynne na cały kraj sygnowane przez prymasa Stefana Wyszyńskiego gnieźnieńskie uroczystości Tysiąclecia Chrztu Polski, a inni wracali pamięcią do partyjno-państwowych uroczystości związanych z Tysiącleciem Państwa Polskiego. W monografii „Dzieje Gniezna” z roku 2016 można na ten temat przeczytać, że: *W jubileuszowym 1966 r. Gniezno stało się, jak wiemy, pierwszą areną, na której doszło do milenijnego starcia na linii państwo-Kościół.* I dalej: *Przygotowania do wielkich obchodów 1966 r. oraz sam ich przebieg sprawiły, że Gniezno, przedstawiane w krajowym przekazie propagandowym jako „pierwsza stolica Mieszka i Chrobrego”, zaczęło wreszcie w latach 60. i 70. XX w. nadrabiać szereg inwestycyjnych zaległości, z czasem awansując do wielce nobilitującej w PRL rangi „średniego miasta uprzemysłowionego”.* Tak więc moim pierwszym tutaj światem był koniec epoki Gomułki i początek epoki Gierka, kiedy w Gnieźnie – rozpiętym między katolicyzmem a komunizmem – zaczęli setkami osiedlać się robotnicy i robotnice z nowych lub rozbudowywanych zakładów pracy („Polanex”, „Polania”, „Spomasz”, „Zremb”, „Polmo”, a także Cukrownia, Garbarnia, Drukarnia, Mleczarnia, Rzeźnia, Rybiarnia, Lustra, Guziki oraz sławna wytwórnia win owocowych typu „jabol”), dla których stawiano blokowiska z wygodami, czyli Osiedle Tysiąclecia, a potem Osiedle Winiary. Nie mogłem przewidzieć, że kiedyś większość tych przedsiębiorstw, jako dziennikarz, poznam od środka.

(26 stycznia) 26



27 (27 stycznia, czwartek)

W latach 70. i 80. ul. Grzybowo z przyległościami to nie była wytworna dzielnica. Żyłem w środku tego świata, znałem tych ludzi, widziałem ich mroczne krainy..., o których dzisiaj mówi się „rodziny dysfunkcyjne”, a wcześniej – „rodziny patologiczne”. Przed zmianą ustroju postrzegano ten obszar jako „społeczny margines”, a kiedy sprowadziłem się do Gniezna, na ulicę Grzybowo, o niektórych mieszkańcach tego fyrtla co rusz słyszałem teksty w rodzaju: „Panie, tam ino kurwa, pijak i złodziej”. W latach 80. napisałem o tej krainie tekst pod muzykę. Nazwałem go „Ballada okrutna”. Póki co, muzyki nikt nie skomponował, ale tekst pozostał.

Mieszkam wysoko.
Nade mną dach tylko,
Anten pajęczyna
I coś, co jak nicość,
Nigdy się nie kończy,
Nigdzie nie zaczyna.

Spoglądam w okno.
Atramentem gaśnie
Zapluta ulica.
Nad domem księżyc,
Pod księżycem kretyn.
Stoi. Się zachwyca.

Zamykam okno.
Wracam do swych złudzeń,
Jak strach do człowieka.
Tam słowik, księżyc...
Nic się nie zmieniło.
Rzeka, czarna rzeka.

Tak. Dzień był piękny.
Chmury, wiatr sierpniowy,
Ścięty słońca nożem.
Westchnąłby se człowiek,
Albo umarł nawet,
Mój ty biedny Boże.

Otwieram okno.
Pachnie mokra zieleń,
W bramie wino piją.
Potem flaszką sru!
Z drzewa słowik spada
Z przetrąconą szyją.

Mieszkam wysoko.
Za ścianą bandyta
Tłucze chudą żonę.
Nie ma tu Boga.
Są tylko, ku chwale,
Rymy zrozpaczone.

Umrzeć – nie sztuka.
Raczej znikać cicho,
Gdy wieczór za krótki.
Na to sił by trzeba,
Na to trzeba zdrowia
I zapachu wódki.

Dwa piętra niżej,
Po przeciwnej stronie,
Młodzi robią dziecko.
Nikt im nic nie powie,
Bo tak była zawsze,
W spodniach i pod kiecką.

O nic nie pytam.
Lato życiem kipi
I jest dobrze. Chyba.
Jutro znów na niebo,
Pełne mroźnej ciszy,
Wезде czarna ryba.

(28 stycznia) 28



29 (29 stycznia, sobota)

Na początku lat 70. w Gnieźnie organizowano żakinady. Obejmowały one, jak pamiętam, wszystkie szkoły średnie i kończyły się zorganizowanym marszem przebierańców do amfiteatru nad jeziorem Jelonek (Weneja), gdzie odbywały się jakieś pokazy, występy, jednym słowem gry i zabawy gnieźnieńskich żaków, kończące się koncertem jakiegoś, zazwyczaj lokalnego, zespołu rockowego (o ile wtedy używano już takiego określenia). Impreza kończyła się pod wieczór, a wtedy tłumy młodych przebierańców wracały luzem do miasta, każdy do swojego domu. Jedną z tych żakinad, w których chyba ze dwa razy wziąłem udział, zapamiętałem dosyć wyraziście, a zwłaszcza jej zakończenie, czyli przemarsz brzegiem jeziora z amfiteatru w stronę ulicy Tumskiej i Rynku. Otóż w miejscu, gdzie dzisiaj wita przechodniów rzeźba królika-strażaka, stał wtedy młody bandzior z ulicy Rybnej, o ksywie Eda-Bokser, i co kilka minut uderzał pięścią w twarz jakiegoś nadchodzącego przebierańca. Wybierał ich losowo według zasady: im bardziej ktoś w swym przebraniu kolorowy i radośnie podniecony mijającym dniem, tym bardziej narażał się na cios ślepej, tępej siły. Nikt mu nie przeszkadzał, bo nikt nie pomyślał o ochronie tej imprezy. Odpowiednie, tajne i jawne, służby pilnowały tylko, aby impreza nie generowała antysocjalistycznych ekscesów. Tak więc Eda-Bokser (de facto szkolny kolega mojego młodszego brata, więc dlatego znałem go i wtedy rozpoznałem, będąc w tym tłumie) mógł w ten świąteczny wieczór spokojnie ćwiczyć na bezbronnych licealistach swoje prawe proste i lewe sierpowe. Na marginesie dodam tylko, że największym marzeniem owego bandziora, mającego wtedy najwyżej 17 lat, było albo mistrzostwo olimpijskie w boksie, albo odsiadka w prawdziwym zakładzie karnym, gdzie mógłby dalej szkolić się w bandyckim fachu. Kiedy kilka lat później wróciłem do Gniezna, na ulicę Grzybowo 3, po odbyciu dwuletniej zasadniczej służby wojskowej, dowiedziałem się od ziomków z dzielnicy, że Eda-Bokser zabił kogoś ciosem noża i na 15 lat trafił do więzienia. Inni „artyści” z jego bajki i z tego fyrtila, których znałem i niekiedy spotykałem, ograniczali swoje wyczyny do pijackich burd, domowych awantur, banalnej złodziejowy i tradycyjnego mordobicia. Ponieważ od czasu do czasu „pożyczałem” im kilka złotych na kolejne wino, a poza tym nigdy nie wywyższałem się ponad ich zwyczajność, nigdy też z ich strony nie spotkało mnie nic złego. To był dla mnie swoisty, dzielnicowy folklor.

(30 stycznia) **30**



31

(31 stycznia, poniedziałek)

Pierwszy wieżowiec z windą... W roku 1972 (jeżeli dobrze pamiętam) postawiono w Gnieźnie i oddano do użytku pierwszy wieżowiec z windą. W sumie zbudowano wtedy trzy takie same wieżowce, które stoją do dzisiaj między ulicami Łazienki i Sobieralskiego. Swego rodzaju zaskoczeniem okazał się fakt, że istniejące w nich windy woziły nie tylko właściciele mieszkań i ich rodziny, ale także setki mieszkańców Gniezna, którzy pierwszy raz w życiu mogli wjechać windą z parteru na 10 piętro niczym turyści na punkt widokowy, co dla wind okazało się sporym wyzwaniem, a dla lokatorów musiało być męczącą uciążliwością. Ja też znalazłem się w tej grupie, a dobrze to pamiętam, bo późną jesienią 1972 roku, kiedy do pierwszego gnieźnieńskiego wieżowca z windą ciągnęły niemal całe wycieczki z centrum miasta i Osiedla Tysiąclecia, byłem uczniem czwartej klasy II LO. Miałem wtedy bliską sercu koleżankę T. z pierwszej klasy tegoż ogólniaka, z którą dwa razy wybrałem się na długi, wieczorny spacer właśnie w okolice starej wieży wodociągowej i ulicy Sobieralskiego. Za każdym razem spacer ten kończyliśmy wjazdem windą na najwyższe piętro, skąd – przez okno na końcu długiego korytarza – można było oglądać fragment panoramy miasta w kierunku jeziora i powstającego właśnie blokowiska Winiary. Staliśmy tam po ciemku, wpatrując się w słabo rozświetloną ciemność za oknem i rozmawiając o ważnych wtedy dla nas sprawach – o ewentualnej wspólnej przyszłości, o marzeniach finansowych i artystycznych, o szarej rzeczywistości naszych domów rodzinnych, wreszcie o Gnieźnie, z którego być może kiedyś uda się wyrwać w daleki, piękny świat. Kilka lat później, krótko przed 13 grudnia 1981 roku, ja miałem już żonę i dziecko, natomiast T. wyjechała ze swoim, poznanym w Gdańsku, arabskim przyjacielem do USA. Jej zdziwaczała matka jeszcze na początku XXI wieku chodziła po mieście i opowiadała znajomym (do których zaliczała i mnie), że T. zrobiła w Ameryce wielką karierę, gdyż ma tam własne biuro pisania podań. Z innego źródła (od M., najlepszej koleżanki T.) dowiedziałem się, że ów Arab, za którego T. wyszła w NYC za mąż, w trakcie małżeńskich kłótni otwiera okno na 30 piętrze grożąc, że oboje przez nie wyfruną. Kilka dni temu wybrałem się do pierwszego gnieźnieńskiego wieżowca z windą. Winda jest ta sama, więc jadąc nią na 10 piętro niemal usłyszałem słowa, jakie kiedyś wypowiedziała w niej bliska memu sercu dziewczyna. Były to słowa o miłości...

(1 lutego) **32**

